

ZBIGNIEW DROZDOWICZ*

Wartość popularyzacji w nauce

W świetle ministerialnych rekomendacji dotyczących nowego modelu ewaluacji działalności naukowej na lata 2026–2030 zwiększeniu ulegnie rola popularyzacji (Karwowski 2025). Problem w tym, aby były to takie popularyzacje, które przyczyniają się albo do upowszechnienia wiedzy o prowadzonych przez uczonych badaniach naukowych i uzyskiwanych w nich wynikach, albo też były pomocne przy ich praktycznym wdrażaniu. Z tym różnie było i jest. Wypowiem się na temat wartości czterech rodzajów takich popularyzacji, tj. publicystyki, biografistyki, dokumentalistyki i eseistyki. Można oczywiście wyróżnić jeszcze inne jej rodzaje – zwłaszcza wówczas, gdy adresatami popularyzacji jest młodzież szkolna lub nieposiadający akademickiego doświadczenia emeryci uczestniczący w wykładach Uniwersytetu III Wieku. Wprawdzie na ich temat się tutaj nie wypowiadam, jednak nie oznacza to, że bagatelizuję wartość tych form popularyzacji.

Publicystyka

Uprawiana była i jest lepiej lub gorzej przez wiele osób, w tym takich, którzy nie mają akademickich stopni i afiliacji. Chodzi nie tylko o to, aby była wsparciem dla nauki, ale także o to, aby nie pretendowała do miana naukowych wypowiedzi. Nie ma wprawdzie jednej możliwej odpowiedzi na pytanie: kiedy ona stanowi takie wsparcie?, jednak można z dużym przekonaniem powiedzieć, że m.in. wówczas, gdy uprawiające ten rodzaj wypowiedzi osoby są intelektualnie i emocjonalnie zaangażowane w to, co ma miejsce w życiu naukowym. Przypuszczam, że wykładowcy na studiach dziennikarskich potrafią studentom przedstawić różne rodzaje takiego zaangażowania. Jednak nawet zwyczajni „konsumenci” dziennikarskich produkcji potrafią czasami odróżnić takie dziennikarstwo, które jest zaangażowane w sprawy nauki i akademickiego nauczania, od takiego, które stanowi jedynie mniej lub bardziej udolne dokumentowanie poczynań związanych z tym wydarzeń. Granice między nimi były jednak i są płynne, a posiadanie lub nieposiadanie przez uprawiających publicystykę jakiegoś stopnia lub tytułu naukowego może być mylące – zwłaszcza dzisiaj, gdy tak wielu dziennikarzy próbuje „wejść w buty” uczonych i tak wielu uczonych próbuje „wejść w buty” dziennikarzy. To pomylenie ról niejednokrotnie szkodzi nauce. Nie będę nawet próbował odpowiedzieć na py-

* Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz (drozd@amu.edu.pl), emerytowany profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

tanie, czy szkodzi to również dziennikarstwu? Pozostawiam to specjalistom od środków masowego przekazu.

Można jednak odwołać się do tradycji w tym zakresie i przywołać przykłady takiej publicystyki, która była brana za naukową prezentację. Należy do nich m.in. relacja z podróży François Berniera, opublikowana w 1684 roku w *Journal des sçavans* pt. *Nowy podział Ziemi według różnych gatunków lub ras ludzkich*. Pojawia się w nim po raz pierwszy podział ludzi na rasy (Bernier 1663/1664). Jego autor raczej nie mógł przypuszczać, że zrobi on później taką światową karierę, że będą podążali za nim nie tylko zwolennicy różnych wersji rasizmu, ale także tacy poważni uczeni, jak chociażby szwedzki lekarz, biolog i botanik Karol Linneusz – uznawany za prekursora naukowej taksonomii świata ożywionego (Müller-Wille 2014). W drugiej połowie w XX wieku pojawiła się grupa takich publicystów jak William Ripley, który w książce pt. *The Races of Europe* nie tylko głosił wyższość rasy białej nad innymi rasami, ale także wyróżniał rasę żydowską i twierdził, że stanowi ona zagrożenie dla białych Amerykanów. Nazistowskie Niemcy miały zwolenników rasizmu z akademickimi stopniami i tytułami. Należał do nich m.in. Hans F.K. Günther, wykładowca na uniwersytetach w Jenie, Berlinie i Freiburgu. W książce pt. *The Racial Elements of European History* zaproponował on taką definicję ras, że wyszło mu na to, iż ze wszystkich ras najlepiej wypadają Niemcy lub przynajmniej wyglądający tak jak Niemcy, to znaczy są wysokimi, jasnowłosymi i jasnooczymi osobnikami (Günther 1927). Zdaniem amerykańskiego biologa ewolucyjnego Stephena J. Goulda takie wyróżnianie ras nie ma naukowych podstaw (Gould 1981). Tej opinii nie podziela jednak amerykański publicysta i popularyzator nauki Nicholas Wade. W opublikowanej w 2014 roku książce pt. *Troublesome Inheritance: Genes, Race and History* (*Kłopotliwe dziedzictwo: geny, rasa i historia*) powołuje się na takie ustalenia genetyków i biologów, które mają potwierdzać zróżnicowanie rasowe ludzi (Wade 2014). Publikacja ta spotkała się z krytyką ze strony przedstawicieli tych dyscyplin naukowych. W sierpniu 2014 roku na łamach „The New York Times” ukazał się podpisany przez 142 uczonych list otwarty przeciwko spekulacjom N. Wade’a.

Można jednak również znaleźć przykłady takiej publicystyki, która nie tylko dobrze służy nauce, ale także stanowi wsparcie dla rozwiązywania różnych problemów społecznych. Szczególnie znaczące osiągnięcia miał w tym zakresie Albert Einstein. Postrzegany jest on przede wszystkim jako wybitny fizyk, autor szczególnej i uogólnionej teorii względności. Po ogłoszeniu w 1916 roku tej drugiej zyskał szerokie uznanie nie tylko w środowisku akademickim, ale także zainteresowanie tzw. szerokiej publiczności. Autorzy jego biografii pt. *Prywatne życie Alberta Einsteina* twierdzą, że „Swą nagłą sławę zawdzięczał krzyczącym nagłówkom gazet angielskich i amerykańskich. «Rewolucja w nauce: Nowa teoria Wszechświata: Idee Newtona obalone» – grzmiał londyński The Times z 7 listopada 1919 roku. (...) Gdy tylko rozeszła się wieść o nowej teorii, repor-

terzy pospieszyli by poznać jej autora. (...) Einstein był znakomitym materiałem dziennikarskim i szybko proszono go o wyrażanie opinii przy każdej nadarzającej się okazji i na każdy temat. (...) Einstein stał się dla środków masowego przekazu mędrcom, o którego opinie zabiegano jak świat długi i szeroki” (Highfield, Carter 1995, s. 237 i d.). Rzecz jasna nie znał się i nie mógł się znać na wszystkim. Zdaniem innego wybitnego fizyka – Wernera Heisenberga – w sprawach polityki wykazywał się wręcz naiwnością. Wypowiadał się jednak chętnie również w tych kwestiach – zwłaszcza gdy dotyczyły one wojny i pokoju oraz antysemityzmu, na który był szczególnie uwrażliwiony z uwagi na swoje żydowskie pochodzenie (prowadzona w hitlerowskich Niemczech nagonka na Żydów skłoniła go do emigracji do Ameryki). Jego publicystyczne wypowiedzi zostały zebrane w całość i wydane w 1954 roku pt. *Ideas and Opinions* (Einstein 1954). Z niejedną z jego opinii można poważnie polemizować. Poza dyskusją jest jednak, że jest to publicystyka mocno zaangażowana w bieżące sprawy tego świata, który przeżywał okres tzw. zimnej wojny i stał na krawędzi kolejnej gorącej wojny.

Dzisiaj pod jednymi względami łatwiej jest dotrzeć do szerokiego odbiorcy, natomiast pod innymi znacznie trudniej. Łatwiej jest o tyle, że żyjemy w okresie szerokiej dostępności do Internetu i popularności tzw. mediów społecznościowych. Natomiast trudniej o tyle, że tzw. przeciętny obywatel zdany jest niejednokrotnie na swoje kompetencje i swoje upodobania w wyborze tych mediów, z których chce skorzystać, a te media walczą przeciw o pozyskanie możliwie najliczniejszego i najszerzego grona odbiorców i w tej walce posługują się różnymi środkami, w tym półprawdami i zwyczajnymi kłamstwami. Pojawiała się nawet taka kategoria, jak „fake news”, oznaczająca te media społecznościowe, które świadomie posługują się nieprawdziwymi informacjami dla pozyskania możliwie jak najliczniejszego grona odbiorców. Prowadzone są badania nad stopniem zaufania do różnego rodzaju mediów informacyjnych. W świetle badań przeprowadzonych w 2021 r. przez Pew Research Center aż 84% Amerykanów korzysta z tych mediów, a ponad 20% zadeklarowało duże do nich zaufanie. Prowadzone były również analizy tego, co jest w nich przekazywane. Okazało się, że w niejednym z nich głoszone są różnego rodzaju teorie spiskowe oraz podawane są w nich takie fałszywe informacje, które mają „wybielać” jedne osoby i oczerniać inne. Głośna była w swoim czasie sprawa sfabrykowania takiego e-maila Hillary Clinton, który został opublikowany przez nieistniejącą gazetę występującą pod nazwą „The Denver Guardian” – przyczynił się on do obniżenia politycznych notowań tej kandydatki na prezydenta USA. Polska ma oczywiście swoich specjalistów od oczerniania jednych i wybielania innych. Wskazanie kogoś z nazwiska sprawi jednak, że zaraz pojawią się jego obrońcy.

Biografistyka

Ponoć najlepiej wychodzi się na zdjęciu – jednak pod warunkiem, że zostało ono zrobione przez kogoś nam przychylnego lub przez nas samych. Dzisiaj takie selfi cieszy

się ogromną popularnością. Ma ono jednak długie tradycje kulturowe – tyle tylko, że w przeszłości było wykonywane nie przy pomocy telefonu komórkowego, lecz pióra i upowszechniane w formie autobiografii i biografii. Niektóre z nich zrobiły nawet światową karierę, utrwalając pamięć o dokonaniach ich autorów. Przykładem mogą być chociażby pamiętniki Juliusza Cezara o wojnie galijskiej (Cezar 2004). Bez nich mało kto by dzisiaj pamiętał, że przez 7 lat prowadził on zwycięską kampanię wojenną z Gallami. To, że nadał im formę prostego, „żołnierskiego” sprawozdania nie tylko z tych militarnych zmagani, ale także z obyczajów tych germańskich ludów sprawiło, że znalazły one uznanie nie tylko u jego sympatyków, ale także zaciekle przeciwników (takich m.in. jak Cynceron). Na ich popularność wpływ mogło mieć również to, że wypowiadał się w nich w trzeciej osobie (mimo że miał ego na miarę swojego wielkiego imperium).

W nauce takich utalentowanych autobiografistów również nie brakowało. Nie zawsze przybierały one formę pamiętników. W czasach, w których sztuka epistolarna wspięła się na wyżyny swoich możliwości, często występowały one jako listy zarówno do przyjaciół, jak i takich osób, które były po prostu ciekawe, jak taki uczony sobie radził w nauce i w codziennym życiu, oraz ewentualnie co mógłby im poradzić. Ten rodzaj autobiografizmu cieszył się sporą popularnością w XVII i w XVIII stuleciu, a z listów takich filozofów i uczonych jak Kartezjusz (napisał ich kilkaset) można się sporo dowiedzieć nie tylko o tym, co on myślał m.in. o kopernikańskiej teorii nieba, ale także o tych, którzy ją krytykowali i prześladowali jej zwolenników. W XIX stuleciu spore kontrowersje budziła sformułowana przez Karola Darwina teoria ewolucji gatunków – przedstawił ją w opublikowanej w 1859 roku książce pt. *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymywaniu się doskonalszych ras w walce o byt*. Natomiast swoją intelektualną drogę przedstawił w napisanych w 1876 roku *Memories of the development of my mind and character, for my family* (Wspomnieniach rozwoju mojego umysłu i charakteru, dla swojej rodziny). Te wspomnienia spisał jednak nie tylko z myślą o swojej rodzinie, ale także o wielu tych, którzy chcieliby się dowiedzieć, co złożyło się na ten jego naukowy sukces oraz jakie miał poglądy w wielu życiowych kwestiach, w tym religijnej wiary (przyznał w nich, że w swoim intelektualnym życiu przeszedł drogą od teizmu do agnostycyzmu). Ich ostatni rozdział został dopisany przez jego syna Francisa Darwina, który był również cenionym przyrodnikiem (prowadził badania eksperymentalne nad fototropizmem), a po śmierci ojca przygotował do druku jego autobiografię i korespondencję (opublikowana została w 1887 roku pt. *The Life and Letters of Charles Darwin*). Za sprawą tych publikacji temu uczonemu raczej nic nie ubyło z jego naukowej wielkości, a przybyło mu sporo jako takiemu człowiekowi, który zmagał się z tymi problemami, z którymi zmagają się zwyczajni ludzie.

Dzisiaj okazji do przedstawienia siebie w korzystnym świetle jest znacznie więcej niż w przeszłości. Do gry o pozyskanie zainteresowania i uznania możliwie wielu osób

weszły publiczne i prywatne media, w tym telewizja, bez której ciekawskim świata trudno byłoby funkcjonować. Problem w tym, że zarówno stosunkowo łatwo jest zaistnieć na telewizyjnym ekranie, jak i z niego zniknąć. Czasami wystarczy przed kamerą sformułować jakieś życiowe przesłanie, a później zrobi ono przynajmniej krajową karierę. Kłopot w tym, że takie przesłania pamięta się niejednokrotnie dłużej niż tych, którzy je sformułowali. Dłuższy żywot w pamięci różnych osób miewają ci, którzy próbują się w niej zapisać wywiadami-rzekami. Ta forma autobiografizmu wymaga jednak takiego opanowania sztuki opowiadania o sobie, aby nie wychodziło na to, że na tym marnym świecie nie było i nie ma nikogo ważniejszego od nas i ewentualnie tych, którzy czymś się nam przysłużyli, bowiem takie wywiady raczej mało kogo zainteresują. Do tego potrzeba nie tylko sporego dystansu do samego siebie, ale także takiego rozmówcy stawiającego pytania, który nie będzie narzucał swojego zdania, a przynajmniej nie będzie przypominał tego, do czego raczej niechętnie skłonni jesteśmy się publicznie przyznać. Trzeba się jednak liczyć z tym, że mogą się znaleźć tacy świadkowie naszego życia, którzy jednak inaczej je postrzegają i oceniają. Mimo tych i jeszcze innych zagrożeń taki autobiografizm cieszy się dzisiaj sporą popularnością, a wywiady-rzeki rozmnożyły się niczym grzyby po deszczu. Dotyczy to m.in. tych polityków, którzy swoje pięć minut w polityce mają już za sobą, a przed sobą długie lata tłumaczenia się z popełnionych lub z przypisywanych im błędów. Rzecz jasna nie każdy z nich ma dokonania na miarę Cezara czy Churchilla, czy chociażby uzdolnienia do takiego opowiadania o sobie i innych, aby ich autobiografie zainteresowały wiele osób.

Jak się w nich odnajdują wielcy uczeni? Nie można powiedzieć, że każdemu z nich wychodzi to równie dobrze jak w badaniach naukowych. Niektórym z nich wyszło to jednak na tyle udanie, że w pamięci pozostali jako osoby zmagające się nie tyle z problemami naukowymi, ale także życiowymi. Przykładem może być wybitny brytyjski fizyk teoretyczny (współautor teorii promieniowania tzw. czarnych dziur) Stephen Hawking, który przez wiele lat zmagał się z rzadką i powoli postępującą chorobą neuronu ruchowego (MND), powodującą paraliż i zanik możliwości samodzielnego poruszania się. Rozpoznana została ona u niego już w okresie jego studiów w Cambridge i pogłębiała się do końca jego życia (zmarł w 2018 roku w wieku 76 lat). Był jednak aktywny nie tylko w nauce, ale także w mediach społecznościowych oraz w biografistyce. W roku 1991 wystąpił w filmie biograficznym w reżyserii Errola Morrisa, a w 1993 roku opublikowany został zbiór jego esejów, akademickich wykładów i wywiadów pt. *Black Holes and Baby Universes and Other Essays* (Czarne dziury i niemowlęce wszechświaty oraz inne eseje). Natomiast w 1997 roku nakręcony został sześciuodcinkowy serial telewizyjny pt. *Stephen Hawking's Universe* oraz ukazała się książka pod tym samym tytułem. Występował również w programach telewizyjnych (takich m.in. jak Monty Python Live), oraz w reklamach różnych produktów, w tym wózka inwalidzkiego, na którym się

poruszał. Można z pełnym przekonaniem powiedzieć, że był nie tylko wybitnie uzdolnionym fizykiem teoretycznym, ale także utalentowanym popularyzatorem przełomowych dokonań w tej naukowej dyscyplinie oraz rzecz jasna swojego udziału w nich. To, czego nie chciał lub nie potrafił powiedzieć sam o sobie, dopowiedziała jego pierwsza żona Jane Hawking. W 2008 roku opublikowała książkę pt. *Travelling to Infinity: My Life with Stephen* (Podróż ku nieskończoności. Moje życie ze Stefanem), w której stwierdziła, że od początku w ich małżeństwie „było ich czworo – ona, on, choroba oraz fizyka” i w końcu doprowadziło to do jego rozpadu. Swojego byłego męża przedstawiła w niej wprawdzie z pewnym dystansem, jednak bez jakichś wielkich pretensji o rozpad ich małżeństwa. Istotne znaczenie miało to, że znała życie akademickie nie tylko z opowiadań swojego męża, ale także ze swoich osobistych doświadczeń – w 1981 roku uzyskała doktorat w dziedzinie średniowiecznej poezji hiszpańskiej i stanowisko wykładowcy na Uniwersytecie Cambridge.

Pisanie biografii różnych osób ma również długie tradycje. W niejednym przypadku przedstawiane w nich osoby chciałyby w nich wypaść dużo lepiej, niż przedstawiali to ich biografowie. Niewiele jednak mogły zrobić wówczas, gdy ich wizerunki były kreślone wiele lat po ich śmierci przez tych, którzy ani ich osobiście znali, ani nawet nie dysponowali takimi przekazami, które by uwiarygodniały nakreślony przez nich obraz. Tak się rzecz ma m.in. z obrazem żyjącego na przełomie VI i V w. p.n.e. Pitagorasa przez żyjącego w III w. n.e. Porfiriusza. Uczniowie w szkołach dowiadują się, że ten pierwszy był wielkim matematykiem. Natomiast z *Żywotu Pitagorasa* Porfiriusza mogliby się dowiedzieć (gdyby sięgnęli po tę biografię), że był również takim „magikiem”, który „potrafił odwrócić epidemię i powściągnąć wiatry i grad, uciszać fale rzeczne i morskie” (Porfirjusz 1993). Mieszane uczucia mogą wywołać również nakreślone przez Diogenesa Laertiosa „hurtem” *Żywoty i poglądy słynnych filozofów* (Diogenes Laertios 1984). Wprawdzie wizerunek Platona jeszcze się jakoś się w nich broni, jednak trudniej byłoby obronić wizerunek jego nauczyciela Sokratesa (bo nie tylko chodził niechlujnie ubrany, ale także został oskarżony „o bezbożność i psucie młodzieży”). Dla jasności dodam, że ci filozofowie żyli na przełomie V i IV w. p.n.e., a autor ich biografii na przełomie II i III w. n.e. Nie przywołuję tutaj żadnej z tych dawnych biografii, które zostały nakreślone w czasach męczenników za chrześcijańską wiarę. Było ich bowiem tak wiele, że trudno byłoby znaleźć takie przekonywające kryterium ich wyboru, że nie obrażałyby ono czyichś przekonania i uczuć. Dopowiem jednak, że za takich biografistów mogą uchodzić również autorzy ewangelii. Otwiera to jednak szerokie pole do dyskusji, który z tych przekazów jest najbliższy prawdy, bowiem w niejednym punkcie są one rozbieżne. Poza dyskusją jest jednak to, że ich siła oddziaływania na ludzkie wierzenia i wyobrażenia o Bogu, świecie i człowieku była ogromna, bowiem bez nich chrześcijaństwo nie stałoby się światową religią.

Po epoce tak wielkich filozofów, że ich poglądy są przywoływane do dzisiaj, oraz epoce tak wielkich teologów, że niejeden z nich wyniesiony został na kościelne ołtarze, nastąpiła epoka takich biografistów, którzy pisali biografie na polityczne zamówienie. Jednym z mistrzów w tym fachu był florencki pisarz i filozof Niccolò Machiavelli. Szeroki rozgłos zyskał swoim dziełem *Książę*. Pierwowzorem tytułowego księcia jest syn papieża Aleksandra VI Cezary Borgia (Machiavelli 2008). Dzieło to w 1559 roku zostało umieszczone na kościelnym indeksie ksiąg zakazanych. Wynikało to jednak nie tyle z tego, że jego autor „prał” publicznie papieskie brudy, co z tego, że gloryfikował w nim takie sprzeczne z nauką Kościoła cnoty jak umiejętność przejęcia władzy podstępem i sprawowanie jej za pomocą kłamstwa i przemocy. Machiavelli nie przysłużył się wprawdzie nim owemu księciu (swoje awanturnicze życie zakończył on w więzieniu), ale stanowiło ono inspirującą lekturę dla tych władców, którzy postępowali w podobny do tego księcia sposób.

Czy na taką karierę mogą liczyć biografie uczonych pisane przez tych, którzy ich osobiście znali? Dotychczas żadna z nich nie odniosła takiego sukcesu, mimo że zawierają wiele interesujących szczegółów z ich życia i przedstawiają je czasami w sposób zabawny. Należy do nich m.in. biografia zatytułowana: *Czas Nielsa Bohra* (w 1922 roku uczony ten otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki za „badania struktury atomów oraz emitowanego przez nie promieniowania”), napisana przez jego bezpośredniego ucznia i współpracownika Abrahama Paisa. Są w niej takie fragmenty, które mogą wywołać rozbawienie u jednych czytelników, ale głębszą refleksję u innych. Przykładem może być chociażby ten, w którym Pais przywołuje taki wykład Bohra, na którym ten uczony nagle przerwał kreślenie na tablicy jakiegoś wykresu i dłuższy czas w milczeniu się zastanawiał, co powinno się znaleźć w jego dalszej części. Swoistą ciekawostką może być to, że po wyczerpujących intelektualnie naukowych dyskusjach wytchnienie znajdował w uprawianiu ogródka (Pais 2006).

Sporo interesujących informacji o wybitnych uczonych można znaleźć również w niektórych biografiiach napisanych nie na podstawie bezpośrednich kontaktów z nimi, lecz zebranych dokumentów. Do bardziej udanych należy w moim przekonaniu przywoływana już w tych rozważaniach biografia zatytułowana: *Prywatne życie Alberta Einsteina*. Jej współautorzy – Roger Highfield i Paul Carter – we wstępie stwierdzają, że „ukazały się już setki książek prezentujących w popularny sposób teorię względności oraz wiele biografii Alberta Einsteina. Wszystkie, z jednym lub dwoma wyjątkami, przedstawiają go takim, jakim sam siebie chciałby widzieć – jako człowieka, który wzniósł się ponad sprawy osobiste w dążeniu do prawdy naukowej” (Highfield, Carter 1995, s. 7 i d.). Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy tak się faktycznie miał stan einsteinowskiego biografizmu przed napisaniem tej książki. Mogę jednak z dużym przekonaniem powiedzieć, że ukazuje ona tego uczonego nie tylko w jego uczuciowych uniesieniach i roz-

czarowaniach, ale także w takich medialnych uwikłaniach, które sprawiły, że „stał się dla środków masowego przekazu mędrcom, o którego opinie zabiegano jak świat długi i szeroki”. Dla świata nauki ta medialna wrzawa wokół jego osoby była jednak takim ciężarem, którego żaden uczony nie potrafiłby udźwignąć – bo niby jak udźwignąć oczekiwanie tzw. szerokiej publiczności, że jakaś teoria może stanowić „klucz do wszystkich tajemnic Wszechświata. Według „New York Timesa” miała jednak nią być „nowa teoria względności Einsteina”. Uczony ten w liście do swojego syna Hansa Alberta nazwał to „zupelnym idiotyzmem”. Jednak „mleko już się rozlało” – jeśli tak można powiedzieć o jego znalezieniu się pod presją tych mediów, które czasami nawet w dobrej wierze (ale bez odpowiedniej wiedzy) przypisywały mu takie osiągnięcia, które były poza jego zasięgiem. Sporo interesujących informacji można również znaleźć w *Portrecie Izaaka Newtona*, nakreślonym przez Franka E. Manuela. Poszczególne etapy jego naukowego życia dobrze ilustrują zamieszczone w tej biografii portrety Newtona. Na pierwszym z nich – namalowanym w 1689 roku, dwa lata po opublikowaniu jego fundamentalnego dzieła pt. *Matematyczne zasady świata naturalnego* – uczony ten spogląda na swoje otoczenie wprawdzie dumnie, ale w miarę przyjaźnie. Natomiast na ostatnim – namalowanym w 1726 roku – spogląda na nie wzniośle i stanowi to dobre dopełnienie do rozdziału tej biografii zatytułowanego: *Autokrata w nauce*. Można oczywiście dyskutować o obiektywości zarówno tego obrazu, jak i wizerunku Newtona nakreślonego przez Franka E. Manuela. Poza dyskusją zdaje się jednak być to, że po zapoznaniu się z nimi różnych ciekawskich ten wielki uczony nieco traci na swojej pomnikowości. Nie ma jednak jednej dobrej odpowiedzi na pytanie: jakie warunki powinny spełniać biografie, aby przedstawiały one uczonych w sposób na tyle interesujący i obiektywny, aby mogło to zainteresować szerokie grono czytelników? Tak czy inaczej autorom biografii raczej nie przysporzy wielkiego uznania ani pomnikowe przedstawianie uczonych, ani też próby strącania ich z tych pomników, na które wzniesli ich inni, a już z całą pewnością występowanie w roli tych, którzy wiedzą lepiej od tych uczonych, co było w ich życiu najistotniejsze.

Dokumentalistyka

Dzisiaj dokumentalistyka w nauce ma tak wiele różnych form wyrazu, że można byłoby sporządzić z nich spory raport. Taki raport stanowi zresztą również jedną z jej form. W przeszłości było ich wprawdzie mniej, jednak te, które były, odgrywały również ważne role w upowszechnianiu wiedzy. Do takiej dokumentalistyki zaliczam m.in. składające się z dziesięciu ksiąg *Dzieje Herodota z Halikarnasu* (ok. 484–426 r. p.n.e.) Wprawdzie można im zarzucić europocentryzm, jednak sporo jest w nich informacji o realiach ówczesnego świata greckiego, perskiego i egipskiego, które ich autor miał okazję obserwować podczas swoich podróży. Zarzut stronniczości można również

postawić autorowi *Historii wojny peloponeskiej* Tukidydesowi z Aten (ok. 460–455 r. p.n.e.). Rzecz nie w tym, że nie był on obiektywnym sprawozdawcą z przebiegu tej wojny, co w tym, że był on obrońcą poczynań politycznych Peryklesa i to tak bezkrytycznym, że został zmuszony do opuszczenia na pewien czas Aten. W średniowieczu sporą karierę zrobiła forma dokumentalistyki nazywana kronikami. Jedną z nich była napisana prawdopodobnie w latach 1113–1116 kronika Galla Anonima. Składa się ona z trzech ksiąg i zawiera opis panowania trzech piastowskich władców – począwszy od księcia Popiela, poprzez Mieszka, a skończywszy na Bolesławie Krzywoustym. W najkorzystniejszym świetle przedstawiany jest w niej ten ostatni (mimo że okaleczył swojego starszego brata Zbigniewa). Zdaniem niektórych historyków przynajmniej niektóre opisane w niej wydarzenia można uznać za wiarygodny przekaz historyczny (Jasiński 2008). W epoce Odrodzenia spory rozgłos i sukces komercyjny zyskała *Księga kronik* (*Liber Chronicarum*), nazywana również *Kroniką norymberską* (opublikowana została w 1472 roku w Norymberdze), napisana przez medyka Hartmanna Schedela. Przedstawiona w niej została historia świata – począwszy od jego stworzenia, a skończywszy na jego końcu i Sądzie Ostatecznym. Na podobny sukces liczył również autor opublikowanej w latach 1754–1762 sześciotomowej *Historii Anglii* David Hume. Wprawdzie mocno się w tym przeliczył, a nawet doczekał się umieszczenia tego dzieła na kościelnym indeksie ksiąg zakazanych, jednak można to stosunkowo łatwo wyjaśnić. Hume sam przyznał, że po jej opublikowaniu „spotkał je jeden wielki okrzyk wyrzutu, dezaprobaty, a nawet obrzydzenia; Anglicy, Szkoci i Irlandczycy, Wigowie i Torysi, duchowni i sekciarze, wolnomyśliciele i wyznawcy religii, patrioci i dworzanie, zjednoczyli się w swojej wściekłości przeciwko człowiekowi, który nie miał zamiaru wylewać hojnie łez za Karola I (Wootton 1993). Dodam, że nie tylko za tego ściętego w 1650 roku króla, ale także za wielu innych władców Anglii, Szkocji i Irlandii.

Przywoływane tutaj przykłady historii – po części prawdziwej, a po części zmyślonej – mogą stanowić przyczynek do dyskusji nad kondycją współczesnej dokumentalistyki tych wydarzeń, które miały lub przynajmniej mogły mieć miejsce w przeszłości. Ronald H. Fritze dokonał przeglądu zmyślonych historii i jego wyniki przedstawił w książce pt. *Invented Knowledge. False History, Fake Science and Pseudo-Religions*. We wprowadzeniu do niej stwierdza, że „dzisiejsi Amerykanie zaczęli na nowo oceniać historię swojej udręczonej ziemi: i odgrzewać intelektualny klimat tamtych czasów poprzez dzikie spekulacje na temat swojej przeszłości”. Wyrazem tego jest „mit budowniczych kopców w prehistorycznej Ameryce”. W świetle tego mitu zaginiona rasa białych osiedliła się w Ameryce Północnej w czasach starożytnych i zbudowała wspaniałą cywilizację, której jedyną pozostałością było wiele kopców rozsianych po wschodnich Stanach Zjednoczonych. Niestety dzicy przodkowie czerwonoskórych Indian (...) najechali ziemię białych i zniszczyli budowniczych kopców (Fritze 2009, s. 7 i nn.). W rozdziale drugim tej książ-

ki jej autor stwierdza, że ten mit należy nie do historii, lecz do pseudohistorii tego kontynentu. Ta pseudohistoria stanowi wsparcie zarówno dla różnego rodzaju spiskowych teorii, jak i dla rasizmu, nacjonalizmu i religijnego fanatyzmu. Nie mogłaby ona jednak znaleźć szerszego uznania bez „tysięcy książek i artykułów czających się na czytelnika na półkach księgarskich i bibliotecznych”. Są wśród nich „wspaniałe źródła badań historii intelektualnej oraz historii nauki i kultury”. Są jednak również takie, które „czekają na uwagę naiwnych” i „bez skrupułów wykorzystują ich naiwność” oraz „sprzedają im swoje pseudohistorie”. Do tych ostatnich Fritze zalicza również opublikowany w 1968 roku *Rydwan bogów* austriackiego pisarza i historyka amatora Ericha A.P. Dänikena. Jego autor przywoływał w nim takie artefakty jak znajdujący się w Dehli „żelazny filar” oraz znajdujące się w Nazca w Peru geometryczne figury, które jego zdaniem świadczą o obecności na Ziemi istot pozaziemskich. Wprawdzie uczeni (tacy np. jak Samuel Rosenberg) nazywają takie wyjaśnienia „gigantyczną mistyfikacją”, jednak nie przeszkodziło to tej i innym książkom Dänikena w zyskaniu szerokiego zainteresowania czytelników (szacuje się, że sprzedały się one w nakładzie ponad 63 mln egzemplarzy), a ich autorowi w otrzymaniu honorowego doktoratu jednego z boliwijskich uniwersytetów.

Sporym zainteresowaniem cieszy się również ta dokumentalistyka, która jest prezentowana na różnych kanałach telewizyjnych. Jej autorami są niejednokrotnie osoby niemające statusu uczonych. Jeśli już pojawiają się w niej jacyś uczeni, to w roli mających ją uwiarygodnić komentatorów. Ważne jest jednak w niej nie tylko to, co się mówi, ale także, co się pokazuje na ekranie. Problem nie tyle w tym, że pokazuje się „zmyślone historie”, co w tym, że przedstawia się w nich wprawdzie prawdziwe artefakty i fakty, ale interpretuje się je w taki sposób, aby były one zgodne z linią ideową stacji telewizyjnej lub przynajmniej redaktorów przygotowujących w niej takie dokumentalne prezentacje. W telewizji publicznej ważne jest również, aby stanowiły one jakieś wsparcie dla formacji politycznych i osób znajdujących się aktualnie u władzy. Wprawdzie od czasu do czasu twórcom takich dokumentalnych programów zdarza się jakiś „błąd” w dziennikarskiej sztuce, jednak z reguły kończy to ich karierę w takiej telewizji. Mogą oczywiście szukać swojej drugiej szansy w telewizji prywatnej i czasami nawet ją znajdują, jednak stanowi to jedynie potwierdzenie, że apolityczne dziennikarstwo jest bardziej postulatem niż rzeczywistością. Tak jest również w tych krajach, które są dumne ze swojej demokracji i swojej wolności słowa. Jeśli już czymś się one różnią od tych, które dopiero zdobywają swoje doświadczenia w tym zakresie, to przede wszystkim tym, że łatwiej jest w nich dotrzeć do szerokiego odbiorcy z takimi dokumentacyjnymi przekazami, które są niewygodne dla sprawujących władzę. Jednak nawet w takich demokratycznych krajach jak Stany Zjednoczone takie przekazy muszą czasami latami czekać na „swój czas”. Przykładem mogą być chociażby dokumentalne programy po-

kazujące skalę ofiar zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. W Polsce takim drażliwym tematem jest m.in. skala pomocy udzielanej w okresie II wojny światowej Żydom.

Sporą popularnością cieszy się obecnie również dokumentalistyka występująca pod nazwą raportów. Sporządzane są one dla różnych celów i przez różne osoby, w tym przez takie, które mają status uczonych. Te z nich, które mogą być przydatne w nauce, powinny posiadać jasno określone założenia, cele i metodologię oraz gruntownie przeprowadzoną analizę i jasno sformułowane wnioski i ewentualnie zalecenia. Takie raporty się również zdarzają – żeby tylko tytułem przykładu wymienić raport sporządzony przez Marka Kwieka i Łukasza Szymulę, zatytułowany: *Młodzi naukowcy o niskiej produktywności?* (Kwiek, Szymula 2025). Jednak nawet w tym przypadku nie ulega wątpliwości, że prym wiedzie statystyka, wyrażona w formie różnego rodzaju tabelarycznych zestawień i wykresów. Do ich poprawnego sporządzenia nie są jednak potrzebne profesorskie kwalifikacje – wystarczą doktorskie, a nawet magisterskie. Tak samo jest w przypadku tych raportów, które występują na uczelnianych stronach internetowych pod nazwą Bazy Wiedzy. Przynajmniej na mojej byłej uczelni (UAM) nadzór nad ich prowadzeniem sprawują jej władze rektorskie, jednak w praktycznej realizacji uczestniczą osoby ze stopniem magistra. Bardziej dyskusyjnie to wygląda w tej części tych raportów, która dotyczy wyboru bibliometrycznych wskaźników efektywności badawczej. W Polsce oparte są one na tych bazach publikacji, do których bibliometry mają stosunkowo największe zaufanie. Należy do nich przede wszystkim baza Scopus, w której opublikowanie artykułu ma stosunkowo najwyższą punktację. W świetle przywoływanych na wstępie ministerialnych rekomendacji dotyczących nowego modelu ewaluacji działalności naukowej „wielominowanie listy czasopism z ewaluacji nie wchodzi w grę, bo «bez tego wiele rzeczy trudno wskaźnikować»”. Nie sądzę jednak, aby bardzo trudno było się zorientować, że niejedno z czasopism znajdujących się na tej liście jest wyraźnie punktacyjnie przeszacowane i stanowi to pochodną przeszacowania wiarygodności m.in. bazy Scopus. Do tego jednak, aby się zorientować, jakie „prawa” rządzą zamieszczaniem w niej czasopism, potrzebne są nie tyle nawet profesorskie kwalifikacje, co znajomość komercyjnego funkcjonowania tych instytucji wydawniczych, które zorientowane nie na wysoki poziom naukowy, lecz na wysoki zyska z pobieranych od autorów opłat za publikowanie w ich czasopismach artykułów, a w ich wydawnictwach naukowych monografi. Różnego rodzaju raporty w tej sprawie są również sporządzane, a nawet prowadzona jest swoista kampania walki z drapieżnymi czasopismami. Dotąd nie widać jej znaczących efektów. Ministerialnym decydom i ich doradcom polecam lekturę artykułu Edwarda Towpika (profesora Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego), zatytułowanego *IF-mania: Journal Impact Factor nie jest właściwym wskaźnikiem oceniania wyników badań naukowych, indywidualnych uczonych ani ośrodków badawczych* (Tow-

pik 2015). Podzielam jego opinię, że ten wskaźnik jest w wielu przypadkach zawodny, a nawet prowadzący w błąd co do wartości naukowych osiągnięć uczonych.

Eseistyka

Tytułowe określenie etymologicznie wywodzi się z francuskiego słowa *essai* (*próba*). Światową karierę zawdzięcza francuskiemu eseiście Michelowi Montaigne'owi, który swoje opublikowane w 1580 roku dzieło życia zatytułował po prostu *Essais*. Wprawdzie w słowie wstępnym do jego Czytelnika stwierdził, że „siebie w nim maluje”, to jednak nawet pobieżne przekartkowanie tego obszernego dzieła (pisał je przez 16 lat) pozwala się zorientować, że tej deklaracji nie można brać do końca poważnie. Lista przedstawianych w nim problemów jest bowiem tak długa, że na ich przeżycie nie starczyłoby życia kilku pokoleń, a pojawiające się w nim liczne przywołania różnych osób i związanych z nimi wydarzeń pokazuje, że przyjęta w nim perspektywa czasowa sięga tych odległych czasów, w których pojawili się pierwsi starożytni pisarze i politycy. Pierwowzorem dla innych stało się jednak nie dlatego, że wszystko jest w nim powiedziane serio, a nawet nie dlatego, że powiedziane zostało z taką swobodą, jakby myśli i słowa same „pchały się” na papier, lecz dlatego, że stanowi ono taką mieszankę publicystyki, biografistyki i dokumentalistyki, w której Montaigne równie łatwo podejmuje jakiś problem, co go porzuca, aby przejść do poważniejszego lub przynajmniej bardziej interesującego go w danym momencie. W efekcie różne osoby sięgające po to dzieło znajdowały w nim to, czego szukały dla własnych intelektualnych i emocjonalnych potrzeb. Przykładowo: osoby takiej głębokiej religijnej wiary jak Blaise Pascal znajdowały w nim świadectwa głębokiej wiary Montaigne'a, osoby opowiadające się za radością życia znajdowały w nim opowiedzenie się za takim życiem (zdaniem Fryderyka Nietzche, to co Montaigne napisał „przyczyniło się do zwiększenia radości życia na Ziemi”), natomiast ci, którzy tak jak amerykański filozof Ralf Waldo Emerson skłaniali się do sceptycyzmu, znaleźli w nim argumenty dla zachowania sceptycznego dystansu wobec bliższego i dalszego otoczenia. W tak bogatym i wielowątkowym dziele, jakim są te *Próby*, można również znaleźć wsparcie dla nauki i to nie tylko rozumianej jako badania naukowe, ale także jako nauczanie. Dzisiaj w takich krajach jak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zaleca się uczniom szkół średnich pisanie esejów jako formę wprawiania się w wypowiedzaniu się na piśmie, a studentom jako wprawianie się w analizie różnych problemów. W USA eseje – nazywane *Knowledge Skills* oraz *Executive Core Qualifications* – są również wymagane przy ubieganiu się o niektóre stanowiska w administracji federalnej. Powinny one zawierać zwięzłą charakterystykę wykształcenia i kwalifikacji kandydata.

Rzecz jasna do tej popularności eseistyki przyczyniły się nie tylko *Eseje* Montaigne'a, ale także Johna Locke'a (autora m.in. *Eseju o ludzkim rozumie*), Aleksandra

Pope'a (autora m.in. *Eseju o człowieku*) oraz wielu tych pisarzy epoki Oświecenia, którzy w eseistycznej formie wypowiedzi zwracali się do szerokiego grona czytelników zarówno w kwestiach filozoficznych, jak i politycznych. Jednym z tych eseistów był brytyjski pisarz i polityk Edmund Burke. W opublikowanym w 1790 roku eseju pt. *Reflections on the Revolution in France* stwierdził m.in., że „Francuzi okazali się najzdolniejszymi architektami ruiny, jacy dotąd istnieli na świecie. W tym bardzo krótkim czasie całkowicie zburzyli swoją monarchię, swój kościół, swoją szlachtę, swoje prawo, swoje dochody, swoją armię, swoją flotę, swój handel, swoje sztuki i swoje wyroby” (Burke 2001, s. 66 i n.). W XIX stuleciu eseistyka była upowszechniana przez te gazety, które – tak jak „The Atlantic czy Harpers” – zamieszczały regularnie na swoich łamach różne eseje. W XX stuleciu do jej upowszechnienia przyczynili się m.in. tacy literaci jak Virginia Woolf – jej esej zatytułowany *Own room* (Własny pokój) jest uznawany za klasykę eseju zaangażowanego w walce o równouprawnienie kobiet. Aldous Huxley pokusił się o zwięzłe przedstawienie cech dobrego eseju. Jego zdaniem powinna się w nim łączyć „skrajna zmienność w trójbiegunowym układzie odniesienia”, tj. „osobistym i autobiograficznym”, „przedstawianiu, osadzaniu i wyciąganiu wniosków z odpowiednich danych” oraz „abstrakcyjnej uniwersalności” (Huxley 1960, s. v).

Rzecz jasna można z tą opinią polemizować. Jednak poza dyskusją jest to, że dzisiaj esej wszedł nie tylko „na literackie salony”, ale także przekroczył bramy niejednej uczelni i zagościł przynajmniej w niektórych dyscyplinach naukowych. Szczególnym zainteresowaniem cieszy się on zarówno w literaturoznawstwie, jak i w filozofii. Za mistrzowskie jego wykonanie uznaje się m.in. *Politics and English* (Politykę i język angielski) George'a Orwella oraz *Notes of Native Son* (Notatki rdzennego syna) Jamesa Baldwina. Zdobył on również prawo bytu w naukach stosowanych, takich m.in. jak ekonomia – prekursorem w niej był Thomas Maltus, autor m.in. *An essay on population law* (Eseju o prawie populacji). Z polskich pisarzy za mistrza w tej sztuce wypowiedzania się można uznać Leszka Kołakowskiego – zwłaszcza z kilkunastu ostatnich lat jego pisarstwa. Takie jego eseje jak *Wolność, sława, kłamstwo i zdrada: eseje o życiu codziennym* (1999), *Dwoje oczy Spinozy i inne eseje o filozofach* (2004), *Moje słuszne poglądy na wszystko* (2005), *Dlaczego istnieje coś, a nie nic?* (2007), *Czy Bóg jest szczęśliwy?*, *Wybrane eseje* (2012) czy *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny* (2014), mogą stanowić wzory do naśladowania dla tych wszystkich filozofów, którzy nie najlepiej czują się w gorszej drobnozgodnych analizach problemowych i językowych, popartych możliwie licznymi odsyłaczami bibliograficznymi i ograniczonymi do minimum odniesieniami do swojej osoby oraz swoich osobistych przeżyć.

Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że dotychczas nie udało się znaleźć jednej „recepty” na dobry esej. Wiele bowiem tutaj zależy nie tylko od podejmowanej problematyki, ale także od stawianych przez eseistów celów. W związku z tym odróżnia się eseje

psychologiczne (eksponujące sferę różnych przeżyć psychicznych), perswazyjne (mające przekonać ich czytelnika do zaakceptowania jakiejś opinii lub punktu widzenia) oraz ekspozycyjne (przedstawiające różne stanowiska i pozostawiające ich czytelnikowi wybór tego, które uzna za właściwe). W każdym jednak przypadku od eseju oczekuje się, że będzie napisany stosunkowo prostym i zrozumiałym dla wielu osób językiem oraz że będzie miał w miarę jasno sformułowaną tezę i pozostawi czytelnikowi możliwość krytycznego ustosunkowania się. To już jednak w znacznej mierze zależy od osobowości i zdolności narracyjnych jego autora. Stosunkowo łatwo jest znaleźć takich, którzy pisanie esejów mylą z swobodnym wypowiedaniem się na każdy temat i nieposiadaniem gruntownej wiedzy w żadnej kwestii. Natomiast znacznie trudniej takich, którzy taką wiedzę posiadają, ale mają także świadomość, że podzielenie się nią z innymi tym językiem, który używany jest przez specjalistów, oznacza, że nie dotrze się ze swoim przekazem do wielu osób. Mówić krótko i na temat potrafią matematycy i logicy. Dobrym tego przykładem może być 72-stronicowy *Logisch-Philosophische Abhandlung* (Traktat logiczno-filozoficzny, 1921), Ludwika Wittgensteina (profesora filozofii Uniwersytetu Cambridge). Kto jednak dzisiaj czyta takie traktaty? A ilu z tych, którzy je przeczytali, zrozumiało, o co chodziło w nich ich autorom? Przywołuję ten przykład nie po to, aby deprecjonować to filozoficzne osiągnięcie (przez filozofów o podobnym profilu zostało ono uznane nawet za arcydzieło), lecz po to, aby pokazać, że można być wielkim filozofem, ale jednocześnie marnym eseistą. Przyznam, że cenię takich filozofów, którzy wypowiadali się i wypowiadają wprawdzie stosunkowo zwięźle, jednak to, co mieli i mają do powiedzenia jest zrozumiałe dla stosunkowo szerokiego grona osób. Z dawniejszych filozofów zaliczam do nich autora *Mysli* Blaise Pascala. Natomiast ze współczesnych nie tylko wspomnianego tutaj Leszka Kołakowskiego, ale także Tadeusza Kotarbińskiego, autora m.in. *Medytacji o życiu godziwym* (1966). Czy jestem również dobrym eseistą? Nie mnie to oceniać. Powiem jednak, że od czasu mojej filozoficznej młodości sporo się zmieniło w sposobie mojego wypowiedania. W każdym razie dzisiaj nie uważam, że jeśli ktoś nie zrozumiał tego, co mam do powiedzenia, to tym gorzej dla niego, bowiem w ten sposób wystawia nie najlepsze świadectwo swoim intelektualnym kwalifikacjom. Dzisiaj nie prowadzę już akademickich wykładów z filozofii. Zdarza się jednak, że po moich wystąpieniach na konferencjach naukowych któryś z dyskutantów wypowiada się tak, jakbym albo niczego nie powiedział, albo też niczego on nie zrozumiał z tego, co miałem do powiedzenia. Sytuacja jest niezręczna zwłaszcza wówczas, gdy jest to osoba uznająca się za eksperta od wszystkiego.

Bibliografia

Bernier F. (1863/1864), *A New Division of the Earth*, [w:] *Memoirs Read Before the Anthropological Society of London*. London: Trübner and Co.

- Burke E. (2001), *Reflections on the Revolution in France: A Critical Edition*. Stanford, California: Stanford University Press.
- Cezar Gajusz Juliusz (2004), *Wojna galijska*, Wrocław: Ossolineum/DeAgostini.
- Darwin Ch. (1958), *The Autobiography of Charles Darwin 1809–1882*. London, New York: Collins Press.
- Einstein A. (1954), *Ideas and Opinions*. New York: Crown Publishers.
- Diogenes Laertios (1984), *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*. Warszawa: PWN.
- Gould S.J. (2015), *The Mismeasure of Man*. New York: W.N. Norton and Co.
- Fritze Ronald H. (2009), *Invented Knowledge. False History, Fake Science and Pseudo-Religions*. London: Reaction Books.
- Günther H.F.K. (1927), *The Racial Elements of European History*. London: Methuen and Co.
- Highfield R., Carter P. (1995), *Prywatne życie Alberta Einsteina*. Warszawa: Prószyński i S-ka.
- Hawking J. (2013), *Podróż ku nieskończoności*. Warszawa: Świat Książki.
- Huxley A. (1960), *Collected Essays*. London: Harper and Brothers.
- Jasiński T. (2008), *O pochodzeniu Galla Anonima*. Kraków: Wydawnictwo Avalon.
- Karwowski M., *Rekomendacje dotyczące ewaluacji 2026–2030*. Forum Akademickie nr 9/2025.
- Kwiek M., Szymula Ł., *Młodzi naukowcy o nieskiej produktywności? Żadnych szans na wysoką produktywność w przyszłości (analiza 320 000 karier naukowych w 38 krajach OECD)*. Nauka, nr 1/2025, s. 7–46.
- Machiavelli N. (2008), *Książę*. Czerwonak: Wydawnictwo Vesper.
- Manuel F.E. (1998), *Portret Izaaka Newtona*. Warszawa: Prószyński i S-ka.
- Montaigne M. (1985), *Próby*, t. 1–3. Warszawa: PIW.
- Müller-Wille S. (2014), *Linnaeus and the Four Corners of the Word. The Cultural Politics of Blood, 1500–1900*. New York: Suny Press.
- Pais A. (2006), *Czas Nielsa Bohra*. Warszawa: Prószyński i S-ka.
- Porfiriusz (1993), *Żywot Pitagorasa*. Wrocław: Epsilon.
- Ripley W.Z. (1899), *The Races of Europe: A Sociological Study*. New York: D. Appleton and Co.
- Towpik E. (2015), *IF-mania: Journal Impact Factor nie jest właściwym wskaźnikiem oceniania wyników badań naukowych, indywidualnych uczonych, ani ośrodków badawczych*. Nowotwory Journal of Oncology, t. 65, nr 6, s. 465–475.
- Wade N. (2014), *A Troublesome Inheritance Genes, Race and Human History*. New York: Penguin Random House.
- Wootton D. (1993), *David Hume, The History*, [w:] David Norton (ed.), *Cambridge Companion to Hume*. Cambridge: Cambridge Press.

Wartość popularyzacji w nauce

W przyjętych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego rekomendacjach dotyczących nowego modelu ewaluacji działalności naukowej znajduje się założenie, że zwiększona zostanie rola popularyzacji przy ocenianiu osiągnięć w poszczególnych dyscyplinach naukowych. Wprawdzie dotąd nie wiadomo, jak to miaoby wyglądać w praktyce, jednak poza dyskusją zdaje się być to, że powinno to być takie popularyzacje, które przyczyniają się albo do upowszechnienia wiedzy o prowadzonych przez uczonych badaniach i uzyskiwanych w nich wynikach, albo też są pomocne przy ich praktycznym wdrażaniu. Wymaga to uważniejszego przyjrzenia się różnym ich formom. W tym artykule wyróżniam cztery formy popu-

laryzacji, tj. publicystykę, biografistykę, dokumentalistykę i eseistykę. Jest ich oczywiście więcej. Jednak już na podstawie tych, które są przeze mnie analizowane, można powiedzieć, że miały one i mają różną wartość dla nauki.

Słowa kluczowe: publicystyka, biografistyka, dokumentalistyka, eseistyka

The value of popularisation in science

The recommendations adopted by the Ministry of Science and Higher Education for a new model of evaluation of scientific activity include the assumption that the role of popularisation in the evaluation of achievements in individual scientific disciplines will be increased. While it is as yet unclear what this would look like in practice, it seems to be beyond discussion that it should be such a popularisation that either contributes to the dissemination of knowledge about the research conducted by scholars and the results obtained in it, or is helpful in its practical implementation. This calls for a closer look at their various forms. In this article, I distinguish four forms of popularisation, i.e. journalism, biography, documentary writing and essay writing. There are, of course, more. However, already on the basis of those I analyse, it can be said that they have had and continue to have varying value for science.

Key words: journalism, biography, documentary, essay